Lwów 1. Września **Nr 104.** Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie 8 Złr.—półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycin y mód kwartal. 1 Zł. 20 kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1½ kr. i zadopłate 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

JAK TO BYWAŁO.

przez

Oswalda Pietruskiego.

I.

Starosta Kaniowski.

Działo się to w roku 177. Czerwona Ruś, przed parą laty jeszcze województwem ruskiem nazywana, przeszła niedawno pod panowanie cesarzów rzymsko-niemieckich, i nosiła nową Galicyi nazwę. Zima była, prawdziwa zima polska; miesiąc Luty wysadzał się na ostatnie najmocniejsze mrozy, wielkie spadły śniegi i zawaliły szerokie niwy. W taki to dzień zimny i mroźny, a był to dzień 23 lutego, około godziny 3ciej z południa, małe, lekkie lecz mocno zbudowane sanki dobijały się po śniegu do miasta Buczacza. Sankami powoził miarkując po stroju prosty chłopak, i okładał batogiem dwie kare, dobrze wychudłe szkapy. Podróżny na saniach miał na sobie spodnią suknię czarną, na wierzchu ciepły kożuch, płaszcz, a na głowie lisią czapkę. Miarkując po stroju należał on do stanu duchownego, a po unikaniu popasu w którejkolwiek z uczęszczanych gospód, poznać było można, że się śpieszy do pana Mikołaja Potockiego, starosty Kaniowskiego, który nie dawno przybył do Buczacza, a jak wieść niosła, wybierał się z tamtąd na długo jeżeli nie na zawsze.

Buczacz, który dać może dzieciom wyobrażenie Jerozolimy, nie wiele się odmienił od czasu, w którym doń czytelników naszych wprowadzamy. Ubyło zabudowań okalających niegdyś dom właściciela, których nieposzanował także niemiłosierny ząb czasu, a przybyło natomiast przedmieść i nowych nieco budynków.

Na widok ratusza, który zdobiły rzezane figury, rozjaśniło się czoło podróżnego; snać przypomniał znane już sobie zapewne rozkosze gościnnego domu pana Starosty. A może też radował się, że przebył bez szwanku nie zbyt miły przejazd przez miasto Buczacz. Bo jak teraz tak i dawniej mnogie nieprzyjemności cechowały tę drogę; w zimie gołoledź ogromna, a zawsze wązkość drogi kręcącej się pomiędzy domki, poprzyczepiane do wielkich i odwiecznych murów, po przez tu i owdzie sterczące mchem porosłe kamienie i rury wzdłuż drogi leżące, które dostarczają wody młynkom mielącym podolskie zboże.

Rzućmy teraz okiem na całość zabudowań zamkowych. Zamykała je brama ogromna o czterech oknach frontowych półokrągłych; między niemi pięknie z kamienia wyciosany herb Potockich, Piława, nad nim korona, w znak rycerskiej wielmożności opatrzona pięcią piórami strusiemi, a pod nim znane Potockich godło: „*Scutum opponebat scutis*. Od strony dziedzińca taż sama była ilość okien, i między niemi także kamień wpuszczony z napisem właściciela ulubionym: «*Periculum sine periculo non vincitur.*» Kraty żelazne w oknach dowodziły, że pomieszkanie nad bramą przeznaczone było dla tych, którzy z niecierpliwością oczekiwali „sądu złotego, niezwyciężonego i wielkiego Mikołaja” jak go zwykle pochlebcy nazywali.

Środek dziedzińca zajmywał sam zamek, z którego wnętrzem wnet się bliżej poznamy. Zamek miał kilkanaście okien frontowych; na samym środku wznosił się o kilka schodów, nad dziedziniec, ogromny ganek, mieszczący w sobie kilka ławek, pokryty dachem stosunkowo nadzwyczaj wysokim. W oknach zamkowych nie było krat żadnych, których przyznać wypada, za dawniejszych czasów w Polsce nie było potrzeba. Po prawej ręce od bramy ciągnęły się stajnie końskie i wozownie wraz z pomieszkaniami dla sług męzkich. Stajnie te mogły trzysta koni pomieścić, co daje nam miarę o ogromie całego zabudowania tego. Na przeciwko po lewej stronie bramy ciągnął się inny gmach równej wielkości, gdzie mieszkały kobiety, przeznaczone niby do gospodarstwa folwarcznego; było ich kilkanaście, a same podolanki, a wszystkie młode i piękne.

W tej samej oficynie były także i kuchnie i gościnne pokoje, obszerne i zimne, w których pan Starosta umieszczał swoich podówczas jedynych już gości t. j. księży, przybywających z różnych klasztorów. Za zamkiem od południa ciągnęły się duże ulice lipowe, na których końcu były dwa wielkie zabudowania. Jedno z nich po prawej ręce nazywało się skarbcem, pod nim ogromne piwnice z rozmaitemi trunkami staremi a we środku wszystkie ruchomości kosztowne najlepiej zachowane, j. t. broń, szaty, rynsztunki, kobierce i t. p. które pan starosta po przodkach swych odziedziczył i których do codziennego nie potrzebował użytku.

Drugi budynek i z powierzchowności i z przeznaczenia swego mniej okazały, długi, drewniany, i źle utrzymany mieścił w sobie spiżarnię. I w tej chwili właśnie w któ-

rej wstępujemy wraz z podróżnym naszym na dziedziniec zamkowy, pracowało koło niej kilku dworskich kozaków w barwie Potockich, niebieskiej z żółtem, odgartując na rozkaz rządcy śnieg, sięgający aż do okien prawie. Ulice te lipowe służyły staroście w zimie nawet do codziennej przechadzki.

Nowo przybyły gość wysiadł przed oficyną, gdzie mu zaraz pokój gościnny otworzono i przebrawszy się, pospieszył na pokoje pana Starosty. Pospieszajmy za nim; lecz tym razem jedną tylko stronę zamku poznamy, bo obszerne sale i komnaty lewej strony przez zimę nieopalane, nie były zamieszkane. Z ganku wchodziło się do sieni tak wielkiej, że w niej sześcią końmi zawrócić można było; z sieni prowadziły drzwi do przedpokoju mniejszego nieco, w którym siedziała służba pańska. Dalej była sala jadalna której przystrojenie, złożone z szpalerów adamaszkowych za długich i za wielkich do tej sali, widocznie nie przystających do ścian, dosyć dziwacznie wyglądało. Szpalery te zastępowały w jadalni miejsce portretów familijnych, które Starosta Kaniowski, nie zbyt stały w postanowieniach swoich, albo do innych dóbr swoich powysyłał, albo też rozdarował między Potockich, do innych dzielnic rodu należących.

Na środku sali stał stół dębowy, którego ogromna objętość świadczyła o pańskiej gościnności. Między oknami zawieszone były zwierciadła w staroświeckich półokrągłych ramach złoconych; a pod niemi stały komody o trzech szufladach z stalowemi antabami. Parę kanap i kilka tuzinów krzeseł zieloną skurą wybitych, uzupełniały przystrojenie jadalni. Przy piecu kaflowym niezwyklej wielkości leżało i grzało się parę psów ogromnych, dobrze utrzymanych i spokojnych. O jadalnią przypierał pierwszy pokój bawialny, żółtym adamaszkiem wybity, o połowę mniejszy od sali poprzedzającej; na ścianach wisiały portrety rodziców i sióstr pana starosty, pędzel na nich był wyborny, ale oczywiście jakiś zamorski, bo oczy były źle oddane, gdy właśnie narodowe konterfekta odznaczały się wzrokiem udolnie zawsze trafionym. W tej izbie bawialnej wszystko już było wykwintniejsze; i sprzęty wytworne i lustra wielkie; pod ścianą stał hebanowy stolik, a na nim zegar nader misterny, który pod ówczas stanowił jedyną zabawę starosty, i o którym później mówić będziemy mieli sposobność. Z żółtej sali wchodziło się do amarantowego pokoju, tak nazwanego do obicia ścian i sprzętów; krzesła i kanapy ustawione były na skórach z białych niedźwiedzi. Przy kominie z czarnego marmuru, na którym niezapomniano wyryć półtrzecia krzyża, stało wygodne krzesło poręczowe samego starosty.

Inne tej sali przystrojenia składały się z obrazu sztucznie w sufit włożonego, który przedstawiał bitwę pod Chocimem, z mahoniowych stołów, i wygodnych sof. Z tej sali mającej powierzchowność świetną i okazałą, wychodziło troje drzwi sklepionych: środkowe wiodły do sypialni pana starosty do której nikt z gości nie miał przystępu i z której osobny wychód prowadził do sieni. Drzwi po prawej stronie prowadziły do zbrojowni nie wielkiej, ale zapełnionej samą wytworną bronią; była w niej także wielka skrzynia żelazna, do ziemi przyśrubowana, za kassę służąca. Drzwi po lewej stronie szły do tak zwanej biblioteki, zawierającej dzieła, które można było na cetnary sprzedawać. Były w tym szczególnym księgozbiorze prawa magdeburskie, statuta polskie i litewskie, pandekta rzymskie, mnóstwo żywotów świętych, mów, kazań i rozpraw religijnych w edycjach najrozmaitszych; były tam i inne dzieła, mianowicie o antropologii z stosownemi rycinami. Były tam jeszcze ogromne kufry z papierami i listami, najnieporządniej pomieszanemi. Złośliwi twierdzili, iż u starosty nie było żadnego dzieła kompletnego. Świeccy bowiem wydzierali jakie bądź kartki, księża zaś sprosne obrazki, mniemając, że tem wielką moralności wyświadczą przysługę.

W sali amarantowej zgromadzone było całe towarzystwo u pana Starosty. Liczne było dosyć, ale wszyscy mieli postawę znużoną, co było zapewne skutkiem długiego, napojami przeplatanego obiadu. Przy kominie w swojem krześle poręczowem siedział pan Potocki zadumany i niezbyt dobrze usposobiony; jak się zdawało tym razem nie był podchmielony. Miał na sobie ulubiony swój strój zimowy, kontusz z popielatego aksamitu kretami podbity i z takiemiż wyłogami, i wysokie buty czerwone; mimo podeszłego już wieku minę miał dziarską, i na ogromnej jego figurze ślady były jego dawnej tęgości. W osobnym kącie na sofach i krzesłach siedzieli księża. Byli tam wielebni ojcowie missionarze: Wincenty Twardziak i Regimjusz Słotwiński, pierwszy niski, opasły, trędowaty i łysy brunet; drugi wdzięcznej postawy blondyn, więcej wysoki jak niski, twarzy rumianej; obaj przybyli z Horodenki. Byli także wielebny Dezyderjusz Kisielnicki i Grzegorz Szpot, z konwentu dominikańskiego przybyli z Żółkwi, pierwszy niski, siwy, mocno blady i schorzały, drugi otyły brunet z twarzą ospowatą. Był nareszcie ksiądz Deodat Rafałowicz, exjezuita, człowiek wielkiej przebiegłości i rozumu, ale nie miły z powierzchowności, szczupły i wyschnięty szatyn bez zębów; od czasu zniesienia zakonu Jezuickiego bawił on ciągle w Buczaczu. Całe to towarzystwo duchowne, jakkolwiek przy jednym dworze bawiło i w jednym salonie obok siebie siedziało, nie było zbyt zgodne; jedni na drugich patrzali krzywo i zpod oka. Dalej nieco przy kominie także siedział pan Mikołaj Wolski, exkonfederat Barski. Był to szlachcic pleczysty w kontuszu granatowym, ozdobiony kawalerskim krzyżem Miechowskim, co dawało staroście nieraz powód do rozmaitych z niego żartów; nie miał on przed sobą już żadnej przyszłości, i siedział tylko na ła-

sce pana Potockiego. Na boku stali, nie śmiejąc usiąść przed pryncypałem pan Hernek, Czech rodem, architekt nadworny, i pan Krzymuski, rządca dóbr pana Starosty, bawiący obecnie w Buczaczu. Ci dwaj ostatni panowie najwięcej jak się zdawało uraczyli się przy obiedzie, i jak zdołali ustać, mianowicie rządzca sowitym obdarzony brzuchem, było dla wszystkich i dla Starosty prawdziwą zagadką.

Powszechnie w sali panowało milczenie, gdy się drzwi otwarły, i wszedł przez nie nasz podróżny, a rzuciwszy szybkim wzrokiem po wszystkich, zbliżył się do krzesła starosty z wielką submissją.

— Pod stopy się ścielę Illustrissime ac Invictissime Domine! wyrzekł, i rzeczywiście aż się ręką dotknął ziemi.

— A, ksiądz Dyomyd z Poczajowa! zawołał Starosta, witajże mi! niemała to ofiara na taką wybrać się drogę.

— Żadna to ofiara, skoro mogę się zbliżyć do szanownego oblicza Jaśnie wielmożnego pana.

— Bardzo dziękuję! ale Waszeć musi być głodny i przeziębnięty. Przysłowie wprawdzie niesie: Tardo venientibus ossa! Ale siadaj zawsze kochany Ilnisiu, zanim ci co podadzą. Mości Krzymuski! Weźno się do tego, aby nam Ks. Dyomyd odżył.

— Zaraz Jaśnie wielmożny Panie! odrzekł rządca rad, że przemieni niewygodne położenie swoje.

— Ja ciągle, ozwał się Starosta do Ilnickiego bazyljana, myślę na serjo, non in joco, przenieść się tam do was, ale kiedy to nastąpi, niewiem na prawdę, bo to człek proponuje, a Bóg dysponuje.

— Odebraliśmy w tym względzie najłaskawsze pismo i uznałem za stosowne, sam przybyć.

— Trzeba się mości panowie modlić, bo i cóż mi pozostaje innego. Rząd mi nie folguje, szlachta nie lubi; nie odwidza, za Kordonem nie nęci mnie bardzo Pan Stanisław. Cała trudność będzie w umieszczeniu koni.

— To najmniejsza rzecz, skoro tak wysoki potentat zamyśla zjechać do nas, naszym będzie obowiązkiem, postarać się o dogodną i obszerną stajnię.

— Bo bez kilkunastu szkap i bez kilku bab nie obejdę się dodał Kaniowski, oglądając się na księży łacińskich, rad może, że ich takiemi skonfunduje słowami.

Na te słowa księża łacińscy poruszyli się nogami nie bardzo zadowoleni, że ich zwycięża wyznanie ruskie.

— Jaśnie wielmożny pan ma przecie w Horodence wyborne budynki stajenne, a i pomieszkanie klasztorne już na ukończeniu z łaski jaśnie wielmożnego pana, ozwał się się ksiądz Słotwiński.

— Żółkiew to płacze, a płacze! dodał Kisielnicki. Osierocona po krolu Janie i jego rodzinie, odżyłaby dopiero, gdyby jaśnie wielmożny pan, jakby jemu najlepiej przystało, zajął miejsce najodważniejszego i wielkiego króla Jana III. Każdy by upatrywał w jaśnie wielmożnym panu żywy konterfekt króla, którego miejsce zajmywał już jeden Potocki, będąc w ojczyźnie Wicerejem, podczas gdy król jegomość bawił się marsem.

— Ha! ha! ha! i pierniczkami mnie aspanowie nie zwabicie. Będę pamiętał o was, ale mieszkać z wami nie chcę, bo to tam z wami zrobić trzeba pewne votum. I Bazylianom ślubować nie chcę. Będę kontent to zostanę, a jeżeli nie, to inne znajdę sobie miejsce. Mości Wolski zobacz no waść na zegar, dla czego to dzisiaj ta piąta wybić nie chce.

Wyszedł pan Wolski, a za nim i Hernek się wytoczył. Był to już stary człowiek, siwy, z twarzą czerwoną i nosem purpurowym, świadczącym zda się, że pobyt u pana Starosty bardzo mu plandował.

— Nie uwierzycie panowie, ozwał się Starosta patrząc za Czechem, co to za wyborny człowiek. Nazywa się krótko i kiepsko, ale jest człowiekiem uniwersalnym, bo to architekt i medyk i filozof i planista. On mi to wywiózł to dzieło zamorskie, które zaraz podziwiać będziecie I już to jeżeli przyjadę do Poczajowa księże Ilnicki, przywiozę z sobą z pół tuzina dziewek, tuzin kozaków, dwa tuziny koni, Herneka i mój zegar, bo i któżby potrafił w razie jakiego wypadku dłubać w misternych dziurkach. A i księdza Deodata przywiozę z sobą, jeżeli jechać zechce! dodał uśmiechając się ironicznie.

W tej chwili wpadli Wolski z Hernekiem, donosząc, że zegar piątą bić będzie zaraz.

Wszyscy wyszli za starostą oglądać to arcydzieło, stojące jak mówiliśmy na stole w żółtym pokoju. Był to zegar sztucznej rzeczywiście roboty, który Hernek wyprawiony przed laty za granicę, kupił jak twierdził za 700 czerwonych złotych, czemu starosta chętnie wierzył, znajdując tę cenę zbyt jeszcze umiarkowaną.

W tem dziele niemieckiego przemysłu wszystko było srebrnem, co tylko srebrnem być mogło. Co kwadrans w czasie bicia występywały na wierzch zegara rozmaite komiczne figurki w harcopach, i inne krotochwile, które wszystkie nie warto wymieniać. Przy biciu zaś godzin pokazywały się najznakomitsze w Europie osoby, w rozmaitych pozyturach. Pan Starosta nie cierpiał jedenastej godziny, bo wychodził wtenczas Stanisław August w ornacie koronacyjnym, ale za to passjami lubił piątą godzinę.

I właśnie gdy wszedł do sali, piąta bić zaczęła.

— Patrzcie no aspanowie, czy nie prawdziwy to cud? wyrzekł pan Kaniowski z twarzą szczerym śmiechem rozjaśnioną.

Jakoż pojawił się książę Kaunitz, słynny ze złego jeżdżenia na koniu. Wyskoczył i nuż w około galeryjki harcować gdyby na ujeżdżalni.

— Ha! ha! ha! przedziwnie, przewybornie! nie mieniałbym się za żaden inny widok, chyba gdyby ksiądz Dyodym z księdzem Deodatem powalcować chcieli.

*

Książę Kaunitz objechał trzy razy galeryjkę z wielką fantazją, a pan starosta rozmawiając z gośćmi, zacierał ręce swoje ogromne, co było u niego wielkim dowodem zadowolenia.

Ksiądz Deodym wyszedł tymczasem do jadalni w towarzystwie Wolskiego i Krzymuskiego, by spożyć resztki obfitego obiadu, przyczem exkonfederat pomagał mu, mianowicie przy piciu. Pan Potocki zaś wróciwszy z resztą towarzystwa do sali karmazynowej i osiadłszy w swojem krześle, zapragnął fajki, którą mu też Hernek podał i zapalił z wielkiem przymizdrzeniem.

Gdy drudzy wrócili z jadalni obrócił się Starosta do Krzymuskiego.

— Cóż tam? czy wszystko do łowów przyrządzone? spytał go.

— Właśnie przychodzę dać znać jaśnie wielmożnemu panu.

— Zgadnijcież aspanowie! na co polować będziemy. i to wszyscy bez wyjątku polować musicie, jeżeli dbacie o moje względy. Księże Deodymie, zgadnijcież!..

— Może na niedźwiedzia chowanego! odpowiedział skromnie Bazylian.

— Nie trafiłeś, odrzekł Starosta śmiejąc się.

— Na wilka chowanego, ozwał się exjezuita.

— Zpudłowałeś!

— Illustrissime, może na sarneczki chowane!..

— Zapewne! i to jeszcze na dwunożne może..! co to wam w głowie... Nie to! nie to! zgadnijcie!

— Na zające! powiedział jeden. Na lisy zawoła drugi.

— Gdzie tam! odpowiedział Starosta coraz weselszy.

Na najdziwniejszy koncept wpadł ksiądz Szpot.

— Pewnie na jednego z wielbłądów, który opuszczony w stajni wegetuje, i którego illustrissimus między psy puści!..

— Ot bajesz asindziej! więc nie zgadniecie już żaden, bo tamci już wiedzą! dodał wskazując na Wolskiego, Krzymuskiego i Herneka. A więc powiem aspanom, że będziemy dzisiaj polować w spiżarni na szczury, które się tam mocno rozmnożyły. Serdecznie wszystkich zapraszam na te łowy. Szkoda mości Krzymuski, że to dzisiaj nie prima martii, bo by się zabawił także z nami pan starosta Olchowiecki, odwożąc mi winne pieniądze. Lecz chodźmy. Niech kozaki zapalają pochodnie.

I wszyscy hurmem ruszyli za Starostą, udawając przez pochlebstwo wielką radość i wielki do tych łowów animusz. Gdy już wszyscy ku drzwiom się zbliżali, pojawił się nowy gość. Kto to był taki, i co się dalej stało, opowiem w innym rozdziele. (D. c. n.)

Kapryśna.

Bożeż, mój Boże co mnie się stało
Wciąż takam smutna, taka nie swoja,
Jakby co złego spotkać mnie miało,
Spokoju niema duszyczka moja.
Myślałam że mi powiędły róże,
Wyjrzę na ogród, kwitną przecudnie,
Myślałam rano, że przyjdą burze,
Tymczasem cicho przeszło południe,
Najczystszy błękit na całem niebie.
Ani jednego niema obłoczka.
Czego ja smutna, pytam się siebie,
O czem ja myślę i gubię oczka,
Siadam do grania, co wezmę w rękę,
To wszystko mi się zdaje nie ładne,
Wezmę mazurka, wezmę piosenkę
Przewracam, szukam, żadne a żadne,
Otwieram okna, powietrze świeże
Napełnia pokój wonią rezedy,
I to mnie smuci, i żal mnie bierze,
Jakbym co złego zrobiła kiedy.....

Gdyby to można.. ej co ja roję?...
Gdyby to można... ach aż się boję,
Myślę rzecz taką com nie powinna,
Gdyby to słońce nie tak świeciło,
Ale się błyszczy że aż mnie mroczy,
A niewiem komu dobrzeby było,
Żeby mu padał blask w same oczy.
Dziewczęta idą zbierać maliny,
Wezmę dzbaneczek i pójdę z niemi,
Niech sobie idą wiejskie dziewczyny,
Ja się zostanę, tak jakoś źle mi.

— Co tobie duszko?

— Ja nie wiem sama,
Suche mam oczy, a serce płacze
Ja nieszczęśliwa, zobaczy mama
Że ja miłego nic nie zobaczę,
Że ja zmarnuję śliczny wiek młody,
Albo się cała we łzach roztopię.
Puść mnie matuniu, pójdę do wody.

— Czy się utopisz?

— Nie, nie utopię.

T. L.

Wspomnienia z podróży i wycieczek.

Przejazd po ziemi Dońskiej, przez W. D.

I.

(Ciąg dalszy.)

Raniutko nazajutrz przebudziłem się, i pierwsza myśl, co mi się nawinęła, była myśl o środkach wydobycia się choć raz z tego nieszczęsnego zagrzęźnięnia na nowo Pr.. stacyi, gorszego stokroć nad owo przedonegdajsze ugrzęźnienie w błocie. Ale wszelkie już środki oka zały się bezskutecznemi. Trzeba więc było tylko oszczędzać zdrowia kochanego Hip. i myśleć o sposobach, aby usuwać okoliczności mogące go irrytować. Poszedłem do młodzieży, aby z nimi wspólnie coś uplanować ku temu. Ci dopiero się budzili, witając wzajemnie przygotowaną wczoraj rolą na ustach. Wyszedłem więc na ganek przechodząc się kilkakrotnie tam i na powrót w około całego domu po galeryjce. Z braku zajęcia obejrzałem do koła słup pocztowy, okryty napisami: „Do Petersburga wiorst tyle i tyle. Do Kijowa tyle a tyle.» — Tak to nie bagatela, ręką nie dosięgnąć, ani gębą dokrzyczeć, choćbyś najpilniejszy z najpilniejszych miał tam interes, a w koło step równy, jednostajny i nudny, jak zabawy wysokich towarzystw, i tak nie estetycznie śniegiem upstrzony, jak ich francuzko-polska mowa.

W tem dały się słyszeć na trakcie od Stawropola głosy pomieszane: *Nu, he, he, sob, odsie, nu!* Wpatruję się więc, wysuwa się jedna para wołów, druga, trzecia, czwarta i t. d. Przy każdej poganiacz z tyką, dalej toczy się tarantas ze skórzaną budą. W budzie rozpoznaję wojskową postać. Ach gdybym się był domyślił, że te kilka, czy kilkanaście par wołów wiozą nasze wybawienie, pierwszy raz w życiu możebym dobrze ocenił radość Kolumba, przejmującą go na widok ukazującego się lądu.

Naówczas śmiesznem mi się wydało to widowisko — poczta wieziona przez woły. Później dopiero oswoiłem się z taką nowością. Spotykaliśmy nieraz karety zaprzężone wołami. W sławnej z błota okolicy Bachmuta, 18 par wołów małorossyjskich musiano raz zaprządz pod tarantas jakiegoś przejeżdżającego sztab-oficera. Rzeczywiście w tych miejscach niezgruntowanego mastkiego błota, sięgającego za osie kół niekiedy, wół zgrabniej wygląda przy karecie, niż najlepszej rasy konie, które tu nieraz w połowie stacyi pocztowej ustają i niecierpliwie oczekują przez noc całą lub dłużej pomocy wytrwałego bydlęcia. Tymże sposobem wczoraj został przyciągniony furgon, co przywiózł nam ormiańskiego duchownego z familią.

Dotarł nareszcie powóz przez woły ciągniony pod sam ganek budynku pocztowego. Stanęły poczciwe woliska, robiąc bokami gwałtownie i wstrząsając jarżmami, które dziś im cięższe musiały się wydać, niż podczas najpilniejszej pracy wiosennej. Pisarz skwapliwie wystąpił na przyjęcie nowego gościa, i wprowadził go do numeru, zajmowanego już przez nas, i dość szczupłego na tyle osób. Lecz nietylko łóżka, ale nawet sofy bez wybicia zabrakło. Nowemu podróżnemu pozostała tylko podłoga do odpoczynku; Postanowiliśmy więc ustąpić mu nasze miejsca. A był nim, jakeśmy się zaraz po krótkiej rozmowie i poznaniu się dowiedzieli, pułkownik Jen. Szt., J. Chodźko, brat Ignacego Chodźka, znanego naszego autora, jadący na urlop do Litwy. Radzibyśmy byli z poznania znakomitego krajoznawcy Kaukazu, któremu kraj ten winien głównie wymiary tryangulacyjne, jakie za administracyi ks. Woroncowa były tam dokonane. Znał on dobrze każdy punkt ważniejszy i każdą główną wyniosłość Kaukazkiego kraju, zbadał go, wymierzył niejednokrotnie, dokonywając ze swą komendą uczonych expedycyj. To wszystko dostarczało mu obfitego zasobu do rozmowy, jaką z nami kilka godzin raczył prowadzić, ożywiając ją zawsze temi spostrzeżeniami głębokiemi, które pracowite życie śród różnobarwnej społeczności w nas wyrabia. Nie żałowaliśmy natenczas, że nas przeszkody parę dni wstrzymały na tej stacyi, skoro los nam zwłokę tak sowicie wynagradzał. Gotowiśmy już byli wytrzymać i dłuższy areszt, gdy wtem podczas najbardziej zajmującej rozmowy, spostrzegam zą sobą pisarza, który z zakłopoconą miną dawał mi znak, abym wyszedł za nim.

— Mam prożbę do panów, rzekł do mnie na korytarzu, czyby panowie nie byli łaskawi już dzisiaj jechać?

— Jakto, gdzie, czy żartujesz, dokąd mamy jechać?

— Dalej, jak stoi na państwa podorożnem, bo dalibóg nie mam gdzie półkownika ulokować.

— Ale czyż nie żartujesz? A konież gotowe? A czy prędko? Ach bądźże łaskaw! Ah łaskawco! żebym mógł, tobym cię ozłocił i t. d.

Nie mogłem uwierzyć najprostszej rzeczy t. j. wyjazdowi naszemu z Nowo-Pr... stacyi, tak mnie znudził parodniowy przymuszony tam pobyt. Nimem przyszedł do siebie od radości, już jemszczycy pakowali nasze rzeczy, zaprzęgali trójkę choć niezbyt tęgich koni, przywiązywali u duhy dzwonek i t. d. (D. c. n.)

Wiadomość o Truskawcu.

(Dokończenie.)

Dokładne zachowanie dyjety przy kąpielowej kuracyi jest niezbędnym warunkiem samejże kuracyi. Najlepiej da się to uskutecznić prowadzeniem własnej kuchni, co wszakże w Truskawcu jest niepodobieństwem. Ledwie bowiem uwierzyć można takiej niedbałości, iż dotąd przy napływie takiej ludności, do 1000 osób sięgającej, nie było rzeźni w miejscu. Żydzi tylko przywożą mięso z Drohobyczy około

godziny 9ej, a jeżeli co się często zdarza, nie nawiozą w piątek dosyć mięsa, i niema zrobionych znacznych zapasów, trzeba chyba wraz z żydami szabasować. Za leguminami trzeba posyłać osobno do Drohobycza, co dla osób niemogących trzymać koni, jest nadzwyczaj uciążliwe; toż samo dzieje się z warzywami, których miejscowi mieszkańce bardzo mało dostarczają. Zwierzynę przynoszą w wielkiej ilości napakowaną do koszów lub worków; przez co nim przyjdzie na miejsce już się zaśmierdzi. Masło i wszelki nabiał najgorzej są urządzone, a nadewszystko haniebne jest pieczywo. Jest jeden tylko piekarz, który pewny odbytu, niedba o powszechne narzekanie, i piecze jak i co mu się podoba; bez żadnej obawy, bo bez dozoru i nagany.

Zabawa jest konieczna dla chorego, bo rozwesela umysł, ale więcej jeszcze szkodliwem jest nadużycie w tej mierze, bo osłabia i przeszkadza spoczynkowi. Dla tego we wszystkich zakładach kąpielowych zaprowadzonym bywa pewien porządek, do którego i zabawa stosować się powinna, aby nie było nadużyć w częstych i późnych hulankach nocnych. I na ten porządek należałoby więcej zwracać uwagi w Truskawcu.

Nie mało też pomaga zdrowiu moralna spokojność umysłu, do której zachowania przyczynia się wiele regularne urządzenie komunikacyi pocztowej, bo jużcić każdy niemal chory ma rodzinę, ma dóm, o które może być niespokojny, i od której regularnie rad by mieć wiadomość. Zachowanie porządku w tej mierze jest także obowiązkiem kąpielowego przedsiębiorstwa, mało wszakże szanowanym w Truskawcu.

Niema tam osobnego składu listowego; jest tylko żydek który przywozi i odwozi listy podług własnej woli, bez najmniejszej rękojmi, za co płaci mu się po 2 kr. od listu, a osobno domaga się poczesnego. Za listy frachtowe z pieniądzmi lub innemi efektami każe sobie osobno płacić, bez żadnej taryfy, targując się prawdziwie po żydowsku. Zarobek tego listonosza jest bardzo znaczny, a dla stron nadzwyczaj kosztowny i uciążliwy, bo jeżeli kto nie zapłaci osobnego poczesnego, musi nieraz 2 i 3 dni czekać na list. Jest jeszcze przytem i ta wielka niepewność i nieprzyzwoitość, że żyd ktory sam czytać nie umie, zwykle dobywa te listy z kieszeni lub torby, a że ma ich wiele, daje więc wybierać z nich tym co się do niego zgłaszają. Nieraz tedy mogą listy najważniejsze w obce wpaść ręce; a jak raz zaginie list, nie ma już żadnej możności wyszukać go.

Takiż sam nieporządek panuje i w odsyłaniu listów; składają się bowiem na los szczęścia na ladzie w cukierni z obawą, aby kto obcy nie wziął, albo na zawinięcie ciasteczek nie został wzięty. Zdaje się przecie być jasną rzeczą, że przedsiębiorca kąpielowy powinien postarać się o osobną expozyturę pocztową w Truskawcu; a dopłat dwukrajcarowy wynadgrodził by mu sowicie wszelki nakład w tej mierze uczyniony.

Albo czyliż w miejscu kąpielowem, gdzie jest napływ chorych, czyli nie koniecznie potrzebnym jest lekarz, apteka i cyrulicy? W Truskawcu niema osobnej apteki, cyrulik był jeden tylko, i to żyd dla własnej potrzeby przybyły. Poczciwy fryzier w gwałtownych cholery napadach zastępował sam najczynniej cyrulika. Co zaś do lekarza kąpielowego, wiemy tylko że na jego pomieszkaniu był szyld wywieszony, zwiastujący jego bytność urzędową w Truskawcu. On sam był nadzwyczaj rzadkiem zjawiskiem, mając bowiem poruczony sobie obowiązek czuwania nad 18 gminami z powodu grasującej cholery, musiał wszystkie wsie poobjeżdżać, pospisywać raporta, przez co tak rzadkim był w Truskawcu gościem, że nie jeden chory odjechał z Truskawca, a lekarza nie widział na oczy. Całe szczęście było, że tego roku było dwóch lekarzy bardzo uzdolnionych, którzy dla siebie przyjechali do Truskawca, i którzy nie lenili się chorym udzielać rad swoich, a nawet dawać pomoc własnemi lekarstwami.

Wiele innych jeszcze jest niedogodności w Truskawcu, jakich po żadnych najlichszych kąpielach zagranicznych zdybać nie można, które jakkolwiek mniejszej są wagi od poprzednio wytkniętych, niemniej przecie są nieprzyjemne i łatwo usunąć by się dały. Przytoczymy tu jeszcze niektóre.

Przy dworkach, dominikalnemi zwanych, niema żadnych stajni ani wozowni; konie zatem i powozy przybywających muszą się mieścić w jednej jaka jest w Truskawcu austeryi, a którą dzierżawi oczywiście starozakonny. Łatwo pojąć jaka tam panuje demoralizacja między umieszczonemi w niej furmanami, tem gorsza że najmniejszego nie ma dozoru i najmniejszej pewności być nie może. Nic słuszniejszego nad to życzenie, aby stajnie i wozownie były oddzielone od od austeryi, i żeby liwerantem siana, słomy i owsa był kto inny, nie sam szynkarz. Najlepiej byłoby, gdyby prócz austerji żydowskiej, był inny dóm zajezdny z traktjernią drugiej klasy dla służących, i żeby się w nim znajdowało kilka numerów gościnnych dla gości, którzy tym sposobem mieliby tymczasowe schronienie, a zatem nie byli przymuszeni jak dotąd stać na placu dłuższy nieraz czas, zanim znajdą dla siebie umieszczenie.

Dokuczliwa jest także w Truskawcu mnogość żebraków cisnących się do niskich okien i otwartych pomieszkań, przez co ciągle a nieuniknione zdarzają się szkody i kradzieże. W ogóle wszędzie uderza wielka demoralizacja, wkradająca się pomiędzy sługi przybyłych gości, do których gdyby były najlepsze wkrada się zepsucie, pozbawiające nieraz chorych wszelkiej usługi. Służba mieści się po największej części na strychach, pod dachem, w łazienkach, i w tak zwanej kasarni. Wspólne tam mieszkanie daje po-

chop do pijatyki nocnej, do hazardowych gier, i w ogóle do życia nierządnego.

W tym względzie jak i wielu innych czuć się daje brak troskliwej policyi. Jedynym onej przedstawicielem widzialnym jest leśniczy, który zdaje się zajmować tylko odbieraniem, wizowaniem paszportów. C. k. Żandarmerja pojawić się może tylko podczas patrolowania; brak więc ciągłej baczności miejscowej jest nader dotkliwy, mianowicie przy tak znacznym napływie obcych osób. Wszakże tego roku mimo odstraszającej cholery było w Truskawcu przeszło 300 familii przybyłych.

Czuwająca wszędzie troskliwość Rządu zaprowadziła taryfy cen pomieszkań i wszelkich innych przedmiotów, przylepione na jednej kolumnie domu publicznego. Co do pomieszkań wszakże ta taryfa była nieco zawiła, a przynajmniej nie zupełnie zgodną z rzeczywistością. Tak n. p. były pomieszkania wynoszące dziennie 10 złr., chociaż w taryfie najwyższa cena była po 5 do 6 złr. Życzyć by zatem należało, aby przy każdem pomieszkaniu z osobna była przylepiona podobna taryfa. Równie też w rzeczonej taryfie wyrażone było zastrzeżenie, że austernik ma obowiązek dostarczać owies po cenie targowej w Drohobyczy z dołożeniem 12 kr. od korca za transport. Mimo to austernik kazał sobie płacić po 1 ryń. 6 kr. m. k. za małą ćwierć, co wynosi za mały korzec 4 złr. 24 kr. m. k. gdy tymczasem korzec dobrej miary owsa kosztował w Drohobyczy 3 złr. 36 kr. m. k. Wszelka w tej mierze troskliwość rządowa musi się stać czczą formą tylko, jeżeli niema komu czuwać nad wykonaniem ułożonych taryf.

Wyliczając te wszystkie niedogodności nie było i chęci mojej pisać bezwzględną krytykę. Każdy z przebywających w Truskawcu gości przyzna słuszność tych zarzutów i zgodzi się zemną, że wszystkie te niedogodności łatwo mogą i powinny być usunięte przez przedsiębiorstwo kąpielowe, reprezentowane teraz przez dzierżawcę tychże kąpieli. I jeżeli tę sumienną krytykę zrobić przedsięwziąłem, zrobiłem to głównie ze stanowiska dobra powszechnego. Szkoda by bowiem była niezmierna, gdyby kąpiele Truskawieckie przez niedbałość podupaść miały, co na tej drodze jak dotąd postępują kierownicy zakładu nastąpić by musiało. Truskawiec ze wszystkich wód galicyjskich jest niezaprzeczenie najhojniej obdarzony; ma bowiem trzy rodzaje wód mineralnych do picia, a dwa do kąpania. Obfitość tych wód jest tak wielka, iż dwa i trzy razy więcej gości może mieć onej podostatkiem.

Utrzymanie zatem Truskawieckich wód na wysokości urządzeń kąpielowych za granicą używanych, jest zadaniem arcyważnem, bo równie znaczącem wiele dla ludzkości, jako też i ze względu wyższego poglądu na dobro samego w kraju. Przy dobrem urządzeniu wód tak zbawiennych, napływ chorych może się o wiele zwiększyć, takiemi mianowicie gośćmi, którzy zrażeni niewygodami, niedostatkiem wszelkiego rodzaju, i nieporządkiem, będą woleć dalszą odbyć podróż, i zagraniczne zwiedzając kąpiele, wywozić będą pieniądze z kraju. Póki więc czas życzyć należy, aby pogląd ekonomiczny za nadto umiarkowany i oszczędny rozszerzył się i zrozumiał to dobrze, że przyjęcie przemysłu, zbytecznego nawet na pozór, w obręb wsoich działań przynoszą pożytek cierpiącej ludzkości, przyniesie zarazem znaczną korzyść, przenoszącą o wiele wszelkie poczynione nakłady. Truskawiec w takim razie w krótkim lat przeciągu stanął by na szczycie wszystkich wód krajowych, a nawet pokusićby się mógł o palmę zwycięztwa z słynniejszemi zakładami zagranicą tego rodzaju istniejącemi.

M... .n P.....y... i.

Rozmaitość.

*** Ze Złoczowskiego.** Oddając winny hołd cnotom obywatelskim, składam w imieniu ludności trzech wiosek w cyrkule Złoczowskim położonych, Wyrowa, Jakimowa i Sokołowa (do plebanii Wyrowskiej należących) t. j. 1200 dusz, najszczersze podziękowanie X. Michałowi, Ulickiemu Plebanowi miejscowemu obr. gr. za jego niezmordowane poświęcenie się w czasie trwania teraźniejszej epidemii.

X. Ulicki wyczerpał w swem staraniu wszystko, co człowiek bliźnim swoim ofiarować może; dzień i noc będąc na zawołanie każdego w trzech wsiach, ratował i pocieszał, rozdawał lekarstwa i pokarmy, w ogóle z zupełnem zapomnieniem o sobie, poświęcił się całkiem ratunkowi swoich owieczek; praca jego była uwieńczona bo przy bardzo znacznej ilości chorych mało uległo słabości.

O niechby takie czyny znalazły uznanie i naśladowców. E. S.

*** Ze Stryja.** Mamy tu teraz teatr polski, teatr pod dyrekcyą pana *Borkowskiego*, znanego dobrze i powszechnie z swej staranności i zasług prawdziwych około sceny polskiej, z którą pomału obznajamia wszystkie najdalsze zakątki naszej prowincyi. Towarzystwo artystów swoich do tego doprowadził stopnia, że grywa dramata, komedye i opery większe nawet jak n. p. *Marya córka pułku*. Wszędzie też gdziekolwiek grywał z towarzystwem swojem, jak mianowicie w Brodach, Złoczowie, w Ułaszkowcach, a najdłużej w Tarnopolu, wzbudzał p. Borkowski powszechne współczucie i rzetelne uznanie.

Toż samo i teraz w naszem mieście obwodowem cieszym się wszyscy, że przecie słyszymy przez parę godzin wieczornych polską mową wygłaszających nam piękniejsze utwory naszych pisarzów dramatycznych, bo towarzystwo p. Borkowskiego grywa wszystkie niemal arcydzieła Fredry i Korzeniowskiego, a przebiegając prowincyonalne sceny z miasteczka do miasteczka, czyni je własnością ogółu daleko skuteczniej niżeli to same ich dzieła drukowane osięgnąć są w stanie. Ze Stryja ma zamysł pan Borkowski udać się do Sanoka. Łatwo pojąć jakiego ruchu ta wieść narobiła w Sanoku, mieście tak przywiązanem z dawna do polskiej mowy i polskich obyczajów, tem więcej że już przeszło lat 20 niebyło tam sceny polskiej. Towarzystwo pana Borkowskiego utraciło w przejeździe z Tarnopola do Stryja dwóch członków swoich. Cholera porwała p. Gadomskiego. i p. Kostrzyńską.

* Na dniu 28. Sierpnia zasłabło 9. a umarło 15 osób, dnia 29. zasłabło 13 umarło 5. Ogółem od powstania zarazy zapadło 5491, a umarło 2772 osób.

Przyjechali od dnia 29. do 31. Sierpnia do Lwowa.

PP. Mier Felix hr. z Witkowa. Dzieduszycki Wład. hr. z Poturzycy. Bogia August ze Stryja. Majkowski Abdon z Brzeżan. Komorowski Ignacy hr. z Żółkwi. Szymanowski Franc. z Krakowa:

PP. Gottleb Felix z Dołhomościsk. Sroczyński Karol z Brusna. Gnoiński Michał z Kłodna. Żarski Kazimierz z Kulawej. Wilczyński Włod. z Nowego sioła. Matlachowski Józef z Krakowa. Strzelecki Bronisław z Zarwanicy. Thulie Jan z Mokrzan. Kalinowski Wład. hr. z Bakowiec. Poten Frydryk z Łahodowa. Matłachowski Józef z Brodów. Malinowski Lubin z Ostrowczyka. Szymanowski Franciszek ze Stanisławowa.

Wyjechali od dnia 29. do 31. Sierpnia ze Lwowa.

PP. Dobrzański Stanisław do Dobrzan. Boczkowski Kasper do Wołowego, Thulie Jan do Mokrzan. Głogowski Antoni do Bojańca Czacki Alexander do Sokala.

Kurs telegrafowany z Wiednia 31. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr. .	$116\frac{3}{4}$	Pożyczka 5%	$76\frac{1}{4}$ —
Hamburg za 100 tal. banco	$84\frac{1}{2}$	Akcye banku	976
Londyn za 1 funt szterl.,	11 15	Kolej północna	2077
Medyolan za 300 lirów	$115\frac{3}{4}$	Obl. ind.	$70\frac{1}{4}$
Paryż za 300 franków .	$135\frac{5}{8}$	Nowa pożyczka z loterya	$99\frac{7}{16}$
Agio duk. ces.	$21\frac{1}{2}$	Pożyczka narodowa . .	$81\frac{7}{16}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski**		Gotówką		towarem.	
Dukat holenderski	złr. 5	kr. 22	złr. 5	kr 24	
Dukat cesarski	« 5	» 25	» 5	» 28	
Półimperyał zł. rosyjski	« 9	« 18	» 9	» 22	
Rubel srebrny rosyjski	» 1	« 48	« 1	» 49	
Talar pruski	» 1	« 44	» 1	« 45	
Polski kurant i pięciozłotówka	» 1	« 18	» 1	» 19	
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	» 92	« 15	92	» 40	
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu	70	» 30	» 71	« —	
5 proc. pożyczka narodowa	80	» 30	» 81	» 30	

Lwów, 31. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 38 złr. 20 kr. do 42 złr. 30 kr. — Żyta po 23 złr. — kr. do 25 złr. — kr. Jeczmienia po 18 złr. — kr. do 18 złr. 15 kr. Owsa po 10 złr. — kr. do 12 złr. 30 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 19 złr. 30 kr. do 21 złr. 35 kr. — Ziemniaków po 7 złr. 45 kr do 10 złr. — kr. Sąg drzewa bukowego 47 złr. 15 kr. do — złr — kr. Sosnowego po 35 złr. 37 kr. do — złr. w.w. Cetnar siana 2 złr. 15 kr. do 2 złr. 45 kr. Centnar słomy 2 zł. 12 kr. do 2 złr. 37 kr. w. w. Garniec 30 topniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. 27 kr. w. w.

☞ Do dzisiejszego numeru dołączone są dwie ryciny mód.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**